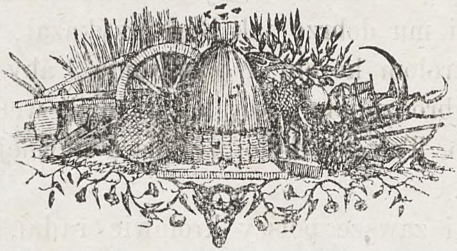
Tom VIII. Nr. 1.

1. Stycznia 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



# DZWONEK

## PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

---

# Nowy rok w Krakowie

## za królów polskich.

Kiedy pan Bóg łaskawy dał nam doczekać nowego roku, więc najpierw życzę ja wam moi mili wszystkiego dobrego, a dalej opowiem wam piękny zwyczaj dawnych królów polskich jak oni obchodzili święto nowego roku. Zda mi się, że na nowy rok najlepsza taka historya do czytania, więc dlatego ją spisałem

Zaś mieliście już nie raz pisanie o dawnych królach polskich, iż to byli panowie dziwnie zacni i dobrzy. Najbardziej godzi się pamiętać o nich, iż wszystkich ludzi biedniejszych kochali i dla nich łaskawi byli, więc mieszczan różnych i cały lud wiejski. Zaś każden król polski był taki dobry, i inszego nie wzięliby sobie Polacy na króla. Także mieli królowie polscy ten piękny obyczaj, iż z każdym człowiekiem po ludzku się rozmówili, a nawet największy chudzina i biedaczek mógł przyjść do króla polskiego i sprawę swoją opowiedzieć mu, zaś król wysłuchał go zawsze i uczynił mu sprawiedliwość. Otóż choć królowie polscy byli bardzo wielcy panowie, i bogaci

i możni i rodu wielkiego, przecieć nie gardzili żadnymi ludźmi nawet najuboższymi, i z każdym obchodzili się jak dobrzy ojcowie. Zaś byli to prawdziwi ojcowie dla narodu, opiekowali się nim i czynili mu dobrze jak Bóg przykazał, bo jużci na to daje pan Bóg królom korony i panowanie, aby byli dla narodów ojcami i dobrodziejami, aby lud rządzili według uczciwości i prawa dobrego. Tak też było w Polsce dawnej, i tak czynili polscy królowie.

Otóż bywali zawsze polscy królowie radzi, kiedy im wydarzyła się jaka sprawa z mieszczanami albo z ludem wiejskim. Zaś król Kazimierz Wielki jeździł nawet po wsiach na to, aby pogadać z ludźmi i wypytać się ich, czy czego nie potrzebują albo czy jakiej krzywdy nie mają. Dla tego kochał tych królów okrótnie cały naród, i przy każdej sposobności pokazywał im tę miłość i szacunek. Teraz opowiem wam, jak w Krakowie winszowano królom na nowy rok, i jak to starali się ludziska pokazać dobre serce swoim panom.

Wiecie moi mili, że Kraków przez bardzo długi czas był stolicą Polski, bo tam mieszkali królowie i główny swój dom mieli w Krakowie. Owoż jak nadchodził nowy rok, to w całem mieście był wielki ruch i wielkie przygotowania. Mieszczanie wybierali się w odwidziny do pałacu królewskiego, kobiety ich zabawiały się nagotowaniem świątecznych sukien i podarków dla królowej polskiej. Jużci było ztem nie mało turbacyi i frasunku, boć to nie żarty stanąć przed najjaśniejszą królową polską i każdy rad był pokazać się jakoś uczciwie, aby nie było wstydu i sromoty. Każdy człek ma swój honor, więc wedle tego każdy rad był pokazać królowej, że jest człek porządny jak się patrzy, a także iż umie poszanować osobę królewską; przeto każdy stroił się jak tylko mógł najpiękniej, i baczył dobrze, aby na czas wszystko przygotować.

Zaś na Nowy rok, zaraz po mszy świętej, szli wszyscy na zamek wawelski pięknie postrojeni, i w porządku należytym. Na samym przodzie szła rajczyni krakowska pięknie ubrana, zaś inne kobiety za nią, a dalej mieszczanie. W bramie zamku królewskiego czekał już na nich urzędnik królowej, który się zwał marszałek, ze służbą dworską i prowadził wszystkich do

wielkiej a pięknej sali, kędy była najjaśniejsza królowa polska. Ta pani siedziała na pięknym złotym tronie pod baldakinem, jaki nad xiężami noszą podczas procesyj.

Kiedy wszyscy weszli do sali, pokłonili się pięknie królowej, a ona ich witała z dobrocią i uśmiechała się mile. Zaś wnet przystąpiła do królowej rajczyni krakowska, i pokłoniwszy się, mówiła w taki sposób:

— Przychodzimy do najjaśniejszej pani z powinszowaniem nowego roku, i życzymy szczęśliwego panowania, a także wszystkiego dobrego i łaski pana Boga, aby nam najjaśniejszą panią długo jeszcze w dobrem zdrowiu i szczęściu zachował. Zaś na pokazanie naszej wierności i służby powolnej, prosimy, aby najjaśniejsza pani przyjęła łaskawie podarek mały. Małyć to wprawdzie i skromny, ale serce dobre, z jakiem przynosimy ten podarek.

Zaś po tej mowie oddawały mieszczki dary. Pewnie ciekawi jesteście moi mili, jakie to bogactwa okrótne były te dary? Otóż żadne bogactwa, ale jeno kura zwykła i kilka placków. Może się będziecie dziwić, dlaczego takiemi drobiazgami nachodzili królowę. Toć moiściewy nie chodziło tu o bogactwo, ale tylko o dobre serce i o chęć dobrą. Królowe polskie miały dość dużo bogactw różnych i majętności, a nie potrzebowały bogatych darów. Zaś potrzebywały one dobrego serca narodu i starały się o takowe, a kiedy im kto dał ono i pokazał swoją miłość i pamięć dobrą, to rade były więcej niżby im największe dał bogactwa. Toć i teraz cieszyła się królowa, i odebrawszy kurę z plackami mówiła do mieszczek:

— Dziękuję wam bardzo moi mili za wasze dary, a jeszcze więcej za wasze dobre życzenia. I daj Boże, aby wam się dobrze działo i aby wam pan Bóg nagrodził wasze dobre serce dla mnie.

Zaś potem kazała królowa podać kieliszek z winem i piła wino za zdrowie mieszczan krakowskich i całego ludu polskiego. A potem kieliszek ten podawała mieszczankom i wszyscy pili z niego za zdrowie królowej.

Tak to moiściewy obchodzono w Krakowie Nowy rok za polskich królów.

# Chata pod śniegiem.

Z prawdziwego zdarzenia

Ubogim ludziom na pociechę napisał **Teofil Lenartowicz.**

---

Kto z Bogiem
To i Bóg z nim.

Byłoto w górach gdzie śniegi nie giną,
Bystra rzeczułka przepływa doliną,
Ponure bory czernią się w około,
W parowach rzeźka młódź huka wesoło,
A góry jeszcze, wierzchołki i brzegi,
Przeszłorocznemi obleczone śniegi;
Aż kiedy słońce ogniście dogrzeje,
Ów śnieg w szeroką rzekę się rozleje,
I lecąc z góry na chaty górali,
Czasami całą osadę zawali;
Co też jednego zdarzyło się lata,
Że się śnieżyskiem zasypała chata...
Słuchajcież tedy o nieszczęściu człeka,
A wierzcie, że jest nad ludźmi opieka.
Oto tak było kiedy raz w dzień biały,
Góralską chatę śniegi zasypały,
Co przystawiona do skały na boku,
We mgłach zdaleka stała jak w obłoku,
Za którą góral szałas wybudował,
Kędy przez zimę owce swoje chował,
I tak dobytek cały miał za chatą,
A w izbie wszelki był porządek za to.
Jednego razu gdy cała czeladka,
Troje drobiazgu, stary Jan i matka,
Siedzieli w chacie obsiadłszy ognisko,
Huk przeraźliwy usłyszeli blizko.
Patrzą kurzawa, śniegi z góry lecą,
I naraz ciemno tylko węgle świecą.
Wnet zrozumieli co się z nimi stało;
Jedno i drugie ręce załamało:
Matko królowo! toć już pomrzeć z głodu,
Bo do komory nie było przechodu.
Dzieci ujrzawszy, że rodzice w trwodze,
W ciemności onej jęły płakać srodze,
Poczem zasnęły braciszek przy siostrze,
Jak polne ptaki gdy się noc rozpostrze.

Wśród dnia białego noc się stała ciemna,
I cisza taka ponura, podziemna,
Że już tam z dołu ze ślicznego świata,
Żaden najcichszy głos ich nie dolata,
I ani wiedzieć czy świt niebo krasi,
Przy którym z krzykiem wychodzą juhasi,
Czy wschód na niebie, czyli zmierzch wieczoru,
Odkąd nie słychać dzwonienia z klasztoru!
Długi czas Janek co czynić nie wiedział,
I jak zdrętwiały przed ogniskiem siedział;
Aż kiedy dzieci zbudzone na nowo,
Poczęły z płaczem kwilić mu nad głową,
Wołając z ciemnych kątów: ojcze chleba!
Poczuł, że przecież coś próbować trzeba.
Głód małych dzieci siły mu podwoił,
Toporem ręce żylaste uzbroił,
I drzwi wywalił i jął kopać w śniegu,
Ale się nie mógł przedostać do brzegu.
Zasypka śnieżna bez końca się zdała,
Siły ustały, i ręka omdlała.
Do tego ogień zagasł na kominie,
Od tej wilgoci co ze śniegu płynie,
Topniejącego nad słomianą strzechą,
I z tą się wreszcie rozstali pociechą.

Nie mogąc drzwiami, wywalił okienko,
I począł silnie śnieg rozgarniać ręką.
Palce zgrabiały, nie odbił dwoch łokci,
Kiedy krew jęła bryzgać z za paznogci,
I trzeba było próżny trud odłożyć,
Za cóż więc Pan Bóg chciałby nas umorzyć.
Tak myślał prostak i do Boga wołał,
Bo wielkich grzechów przypomnieć nie zdołał.
Chwile jak lata, a za każdą chwilą,
Dzieci po kątach wygłodniałe kwilą.
Straciwszy wszelką nadzieję rodzice,
Na naleciałą upadli śnieżycę,
A wtedy dzieci krzyczały ze łzami:
Czyż nikt nie przyjdzie wyrwać nas z tej jamy?
Lecz nie przynosił nikt biednym pomocy,
I tak siedzieli w tej okrótnej nocy,
A jednak w strasznem nieszczęściu wytrwali,
Śpiewali pieśni i nie narzekali,

Choć w koło cisza była przeraźliwa,
„*Kto się w opiekę Panno litościwa.*“
A głos ich dzieci co po kątach spały,
Budząc się płaczem rzewnym zagłuszały.
I tylko jedno dziecko osobliwe,
Jako baranek siedziało cierpliwe,
I samo głodne przez trzy noce długie,
Uspakajało jak umiało drugie
Lat miał trzynaście, lecz rozum nad lata;
Wyraźnie z nieba bo jużciż nie z świata,
Jako ubóztwo nie chadza do szkoły,
Po gór wyżynach pasąc chude woły,
To jedno dziecko co cierpliwość miało,
I z kąta swego pieśni powtarzało.

Nareszcie przyszedł ten czas i godzina,
Kiedy naprawdę śmierć się przypomina.
Widzący tedy że umrzeć przychodzi,
Jako się dobrym chrześcijanom godzi,
Poklękli biedni ludzie na pacierze;
Lecz na myśl samą, że ich Bóg zabierze
Bez sakramentów i bez rozgrzeszenia,
Za wszystkie grzechy, wszystkie przewinienia,
Poczęli biadać, głowy tłuc o ścianę,
Bo chociaż wszystko Panu Bogu znane,
Ale umierać niosąc z sobą grzechy,
Bez tego słońca niebieskiej pociechy,
Toć już najtrudniej i znów życia szkoda,
Do serca myśli im żałośne poda.
A w tej narzekań nieustannych dobie,
Gdy się już prawie widzieli przy grobie,
Najstarsze dziecko jakby chcąc ich zbawić,
Otarło oczy i tak jęło prawić:
Oto widzicie ja rzecz taką czuję,
Która mnie cieszy i bardzo raduje.
Wszak pamiętacie to śliczne kazanie,
Coście mnie latoś prowadzali na nie,
O Abrahamie i o Izaaku,
Którego ojciec chciał poświęcić w krzaku,
Dla tego że Bóg żądał tej ofiary,
Chcąc wiedzieć jeśli dobrej byli wiary?
Otóż ja chcę bydź jak Izaak mały,
Żeby te dzieci pożywienie miały,

I nie krzyczały już i nie płakały.
Żebyście wy się także pożywili,
Wy coście zawsze tacy dobrzy byli,
A jak ja umrę, jak ja tę rzecz zrobię,
To mnie do nieba Pan Bóg weźmie sobie.
Nieszczęsni ludzie słysząc one słowo,
Rzewnemi łzami zleli się na nowo.
Wreszcie Jan stary, wzrok utkwiwszy w niebie.
Rzekł: jużciż dziecko to nie gada z siebie.
Jest wola Boża w tem co ono mówi,
Tedy uczynim co Bóg postanowi.
Natenczas matka padła jak nieżywa,
I była cisza w chałupie straszliwa,
Nieprzerywana jak ciężkiem szlochaniem,
Ciężkiem szlochaniem, srogiem narzekaniem,
I tylko chłopiec z duszyczką prostaczą,
Słuchał zdziwiony czego oni płaczą.
Raz jeszcze góral za oknem próbował,
Czy śnieg nie opadł, czy się nie zluzował,
Wszystkiemi siły bił w te śnieżne ściany,
Czy nie wybije przez nie świt rumiany.
Ale napróżno, wtedy krzyk straszliwy
Wydarł się z piersi matki nieszczęśliwej,
Gdy ojciec stary wiodąc wzrok złowrogi
Podniósł góralski swój topór z podłogi.
Ale gdy kamień do ostrza przyłożył,
Tak zadrzał cały i tak się zatrwożył,
Że spuścił rękę i skamieniał z męki,
Bo na krew swoją nie mógł podnieść ręki.
A chłopiec: ojcze nie bójcie się ino,
Jak ja nie zginę, toć wszyscy poginą.
Patrzcie na dzieci na matuchnę biedną,
Mają mrzeć wszyscy, toć lepiej że jedno.
A potem ja wam i tak nie przydatny,
I już jesteście na nas bardzo stratny.
Franek już dobrze na górskie polany,
Z drugimi może wyganiać barany,
Izaak także grzechem się nie zmazał,
A szedł posłuszny kiedy Pan Bóg kazał.
To czemuż jabym śmierci miał się trwożyć,
Jakbym ja głowy też nie mógł położyć.
Ot weźcie topór prędzej mój ojczeńku,
I pójdźcie bliżej ja tu sam przy pieńku.

A w tejże chwili huk się rozległ w koło,
Spuszczone w górę podniósł góral czoło,
Po przeminięciu pierwszego przestrachu,
Gdy przycichł łomot zapadłego dachu,
Ciekawy góral wybiegł z ciemnej nory,
Do zawalonej śniegami komory.
Aż owo ujrzy z serdeczną pociechą,
Że się dzień bieli nad złamaną strzechą.
Światło przegląda przez śnieżycę białą,
Tak, że już w koło izbę widzi całą.
Śnieg się obrywa, pęka, a ze śniegiem,
Sarenka mała, utrudzona biegiem,
W chwili roztopu nad chmurną Łomnicą
Porwana na dół z lecącą śnieżycą
Spadła przed człeka co jak z martwych ożył,
Jakby mu anioł baranka położył.

W radości człowiek o złem zapomina,
Toż i góralska zbawiona rodzina
Patrząc na cuda ręki Bożej jawne,
Zapominała swe nędze niedawne,
I na sarenkę oczy się zwracały.
Poklękli starzy, dzieci poklękały,
I tylko chłopię tam nie było małe,
Jedyne w ciemnej izbie pozostałe,
Które nie wiedząc że pękła zapora,
Jak się schyliło pod cięcie topora,
Zmęczone głodem, pokorne, cierpliwe,
Przy onym pieńku jak gdyby nieżywe
Spało cichuchno nie myśląc o zgonie,
Jakby u matki rodzonej na łonie.
Gdy go zbudzono, kiedy śród wesela
Jedno się z drugiem radością obdziela,
Dziecko im swoje sny opowie błogie,
Że we śnie widział śliczne kwiaty mnogie,
I niby w wietrze, i niby po kwiatach,
Schodzili k' niemu jaśni w jasnych szatach:
Otóż mnie dola była dana taka
Od Pana Boga jak dla Izaaka,
Chociaż ja przecie nie żadna osoba,
Ale Bóg czyni co mu się spodoba,
I kogo zechce tego zbawić może,
I wszystko dzieje się przez ręce Boże.

Taka się w górach historyja stała,
Z której podwójna Panu Bogu chwała,
Że zbawił ludzi ode śmierci z głodu,
I ztąd że z pośród biednego narodu
Coraz to jakąś sierotkę wywiedzie,
By jak gołąbek leciała po przedzie,
Prowadząc nasze białe polskie stado,
Za świętych pańskich złocistą gromadą.

# Noc Nowego roku.

W wigilię nowego roku około północy chodził Maciej setnie zamyślony po swojej własnej chałupie. Byłci to już starzec siwiuteńki na głowie, jak ów śnieg zimowy, czoło i twarz cała poorały się zmarszczkami, jak ziemia skibami na wiosnę, ciało pokurczyło się i zeschło jak trawa skoszona w lesie, a on cały drżał i trząsł się jak liść osikowy w jesieni. I srodze zadumał się siwy staruszek, bo widział już przed sobą grób otwarty, a tu nie miał ani żony, ani dziecka, ani żadnego nawet przyjaciela, coby mu na łożu śmiertelnem zamknął powieki. Aż zapłakał z wielkiego rozżalenia, gdy sobie wspomniał, że on tak jest samotny jak palec na tym bożym świecie.

Z wielkich nudności roztworzył stary Maciej sporą skrzynię, bo myślał, że go pocieszy widok wielkiej kupy talarów i cwancygierów, ale srebro przy jasnem świetle miesiączka tak mu zaćmiło oczy, że musiał coprędzej zamknąć nazad ten skarb swój przez tyle lat zbierany.

— I co mi teraz — prawi do siebie stroskany Maciej — po tych pełnych skrzyniach pieniędzy, i po tych stajniach pełnych dobytku, i po tych stodołach pełnych zboża, i po tych polach i łąkach, co to je człowiek jeden nie godzien obejść przez dzień do koła, kiedy mnie one teraz nie cieszą i od śmierci wykupić nie mogą? — I komuż ja te bogactwa przekażę po mojej śmierci, coby przynajmniej szczerze o mojej duszy pamiętał? Nie mam nikogo, bo nie miałem nigdy żony, ani też słyszałem tego słodkiego nazwania: ojcze!

W wielkiem rozżaleniu zbliżył się Maciej do okna, a gdy przez nie wyjrzał na niebo gwiaździste, na ten miesiączek promienisty i na tę ziemię bieluśką, ogarnął go jakiś wstyd i lęk ogromny, bo zdawało mu się, że na tym całym świecie szerokim wszyscy ludzie tacy szczęśliwi i spokojni, a on sam jeden tylko pełen utrapienia i boleści...

I nie nadaremnie trapił się tak stary Maciej, bo nigdzie nie widział już dla siebie pociechy i ratunku. Kiedy sobie wspomniał na swoje lata młode, to się tak wstrząsł cały, nieprzymierzając jak ów szatan skąpany w święconej wodzie. Zaś te jego lata młodości pełne były zbrodni i występków, bez najmniejszej szczypty jakiego dobrego uczynku, któryby mu teraz przypomniał się na pocieszenie utrapionej starości. Za młodych lat nie przysporzył Maciej nic dla swojej duszy, tak iż na starość zostało mu się tylko ciało schorzałe i serce obładowane najszkaradniejszemi grzechami. A skoro spojrzał w przyszłość, to aż oczy sobie zakrył rękoma ze strachu, bo takie mu się jakieś straszliwe rzeczy i widziadła przewidywały.

Owoż gdy sobie tak Maciej rozmyśla i frasuje się, zjawiła się naraz w pośrodku izby śmierć straszliwa, ot taka, jak to ją wszędzie malują, wysoka, chuda, koścista, z kosą w ręku, i rzecze do niego:

— Widzi mi się, że się już dosyć nażyłeś na tym świecie, i temu też wstąpiłam po drodze do ciebie, aby cię żabrać ze sobą. Porzuć więc wszystko co masz, i chodź ze mną, bo już nadeszła twoja ostatnia godzina.

Aż pot zimny wystąpił kroplami na czoło Macieja, gdy usłyszał takie rezolutne wołanie, i zrazu też nie wiedział, co ma robić; aż na końcu ochłonąwszy z pierwszego przestrachu, zaczyna się wymawiać i prosić, i błagać i zaklinać, aby mógł jeszcze żyć choć rok, choć pół roku, choć miesiąc, a nareszcie choć tydzień jeden, w którym to czasie mógłby się z Bogiem pojednać i dawne złe naprawić...

A śmierć nieubłagana prawi do niego:

— Przeżyłeś już człeku chwała Bogu osiemdziesiąt latek z górą, miałeś więc dosyć czasu przygotować się do tego życia wiecznego, do którego cię teraz wołam.

Odciągał się Maciej jeszcze długo, ale śmierć widząc, że nasz staruszek zaciął się nieprzymierzając jak kozioł w kapuście, i nie chce się ani rusz zabierać z chałupy, wypchała go owa napastnica gwałtem za drzwi i ostrą kosą pędziła go poprzód siebie.

Takci to śmierć nielitościwa kazała Maciejowi opuścić wszystko, co tylko posiadał, i nie zostawiła mu nawet tyle czasu, aby mógł komuś całe swoje mienie przekazać.

Świszcze wiatr po polu ta i świszcze, a śmierć idzie z Maciejem ta i idzie, i prowadzi go przez góry, debry i wertepy, aż nareszcie doszli do jakiegoś lasu, kędy to drzewa przeraźliwie szumiały, a rozmaite straszydła z po za krzaków wyzierały.

Gdy tak sobie oboje idą, zabiega naraz Maciejowi drogę kilkanaście sierot półnagich, bosych, w podartych tylko koszulinkach i z rozczochranym włosem na głowie i wszystkie krzyczą żałośnym głosem:

— W daleką jak widać wybraliście się drogę Macieju, a nas zostawiasz bosych i nagich bez strzechy i przytułku wśród ostrej zimy? A gdzie to nasz majątek, który razem z nami wziąłeś pod swoją opiekę? Przyrzekłeś święcie zajmywać się nami, a tymczasem przetachlowałeś naszą spuściznę, a nas wypędziłeś pod gołe niebo na cztery wiatry. Oddaj nam nasze mienia i dobytki, oddaj, oddaj, niechaj nie płyną więcej łzy nasze, łzy co płynąc po licach na serce padają, co nam zdrowia ujmują i życie skracają, bo inaczej biada ci będzie!

Chciał się zatrzymać biedny Maciej choćby na chwilę i wrócić się do domu, aby tym biednym sierotom wynagrodzić ich krzywdę, ale śmierć nieubłagana pędziła go ostrą kosą dalej i wołała: naprzód, naprzód, bo już twoja ostatnia godzina wybiła!..

I znikły gdzieś owe sieroty, a biednemu Maciejowi zdawało się, że mu jakieś palące krople niby roztopiony ołów padały na serce, i piekły go nieznośnie; a tymczasem nie było to nic innego, jeno wypłakane łzy wszystkich tych pokrzywdzonych sierót.

I znowu pędzi śmierć swoją ofiarę dalej, aż tu pojawia się przed Maciejem wielka liczba obdartych zarobników i woła do niego:

— Poczekajno Macieju, poczekaj, boś jeszcze z nami nie skończył rachunku. A gdzie to zapłata i nagroda za nasze prace i trudy? Toćto w lecie pracowaliśmy jak woły na ciebie, a ty w zimie żałowałeś nam łyżki strawy, i wypędziłeś nas głodnych, bosych i bez przyodziewku z chałupy, mówiąc, że nie masz czem karmić takiej hołoty. Kiedyśmy na przednowku jedli pokrzywę z otrębami, ty karmiłeś trzodę twoją kartoflami i zbożem, a kiedy nam dałeś kwartę jakiego ziarna na zapomogę, tośmy musieli potem w czwórnasób to wszystko odrobić. Kiedy bydlę zrzuciło młode, kiedy koń zgubił podkowę, kiedy się oś złamała u wozu, lub inna jakaś mała szkoda zrobiła się przypadkiem w gospodarstwie, wtedy odtrącałeś nam to w dwójnasób z naszej płacy. Pókiśmy byli zdrowi i sił nam starczyło do pracy, pótyśmy mieli u ciebie utrzymanie, a skoro który z nas zaniemógł, żałowałeś mu wiązki słomy pod głowę i nie pozwoliłeś nawet przeleżeć się w stodole. Jeżeli nas najmywałeś do roboty, to obiecywałeś więcej niż inni ludzie, a skoro przyszło do wypłaty, to wyszukiwałeś sobie zawsze coś na przyczynę, że to źle wyżęte, a to niedobrze wyorane, i potem dawałeś tylko połowę tej przyobiecanej płacy, o którą jeszcze trzeba się było parę niedziel upominać. Kaleka, żebrak, podupadły gospodarz, nie znalazł nigdy u ciebie przytułku i wsparcia; ale za to gościłeś u siebie jakichś zawołoków, co to ci pletli smalone duby, buntowali przeciwko panom, i namawiali do procesów o cudze pastwiska i lasy. Z tej też racyi nie dowierzałeś panom, nie słuchałeś rad i napomnień xiędza dobrodzieja i dla nikogo nie miałeś już czci i poszanowania. Patrzaj na ciało nasze wynędzniałe, na nasze ręce, na których się skóra połuszczyła z gorąca i pracy, i miej litość nad nami!

Siła to razy pracowaliśmy u ciebie od świtu do ciemnej nocy, a potem powracaliśmy do domu z próżnemi rękoma, i musieliśmy patrzeć na rozpacz chorej żony i głodnych dzieci, które do nas wołały: Tato! chleba, chleba. Wtedy nie było innej

rady, jeno trzeba było ostatni łach wynosić z chałupy i zastawiać go u arendarza za topkę soli, lub bochenek chleba.

Oddaj nam choć teraz naszą zapłatę, bo krzywda nasza woła o pomstę do nieba.

Krew ścięła się w żyłach, i włosy stanęły na głowie Maciejowi, gdy usłyszał te skargi i żale. Wróćcie, ach wróćcie moje młode lata! — wołał on w rozpaczy, ale nadaremnie, bo te młode lata leżały przed nim jak te zwiędłe liście opadłe drzewa dzikiego, które żadnego na zimę nie przyniosły owocu. Wolałbym siebie nie znać, niż znać się w tym stanie — prawi Maciej dalej do siebie — o gdybym drogę życia przechodził raz drugi, to bym już pewnie potem siebie samego nie przeklinał....

W tej chwili uderzyła dwónasta godzina w nocy, wszystkie dzwony odezwały się na powitanie nowego roku i każdy cieszył się, że mu pan Bóg dał znowu jeden rok szczęśliwie przeżyć.

Jeden tylko Maciej idąc ze śmiercią, płakał gorzkiemi łzami, i myślał sobie: Czemużem był taki głupi, i nie słuchał tych życzeń, które mi rodzice, krewni i przyjaciele w dzień nowego roku w mojej młodości składali, i czemużem pogardzał troskliwemi naukami xiędza dobrodzieja, i szczeremi radami naszego pana, gdy mnie oni od złego przestrzegali. Wróć się, ach wróć się moja młodości, a stanę się całkiem innym człowiekiem!

I młodość wróciła, bo widzicie, moiściewy kochani, wszystko to było snem tylko, który w nocy nowego roku trapił naszego Macieja. A Maciej nasz był jeszcze młodym gospodarzem, bo nie miał więcej jak lat dwadzieścia i sześć, ale przy tem wszystkiem miał już różne niedobre chęci do złego i do ludzkiej krzywdy, jak mu się to wszystko w nocy przyśniło. Jakże się Maciej ucieszył, gdy się przebudził, i przekonał, że to wszystko było snem tylko. Święcie dotrzymał on tej obietnicy, którą we śnie uczynił i od tego czasu całkiem się poprawił. Dom jego stał otworem dla sierot, żebraków i kalek, a majątek jego, co mu go pan Bóg więcej niż innym udzielił, nie pleśniał w skrzyni, ale szedł na zapomogę biednym i nieszczęśliwym. Porzucił dawne życie niewstydliwe, i pojął sobie

uczciwą dziewuchę za żonę, a pan Bóg dał mu kilkoro walnych dzieciaków, które swego ojca w starości pielęgnowały.

Weźcie i wy sobie ten sen Macieja za przestrogę, zaniechajcie z tym starym rokiem waszych dawnych błędów i występków, aby wam kiedyś na starość wspomnienie waszej młodości nie przyniosło gorzkich wyrzutów sumienia, i abyście na łożu śmiertelnem leżąc nie potrzebowali wołać: ach wróćcie moje młode lata! — bo one się na jawie już nigdy nie wrócą.

Tego wam życzy z tym nowym rokiem wasz brat i szczery przyjaciel *Jacenty z Magierowa.*

# Piękne przykłady.

## Poczciwa i trzeźwa gromada.

Jest tu jedna wieś w górach Trzebunia, co się okrutnie pięknie gromada w niej popisała, a to tak było.

Jak tam nastał przed dziesięcią laty nowy xiądz pleban, to widząc że we wsi dosyć boskiej obrazy i o pijaka nie trudno, tak sobie pomyślił, aby wstrzemięźliwość duchem między ludkiem zaprowadzić. No i wziął się do tego. — Ale choć to wszyscy kapłani nasi dobrodzieje, chcieliby wstrzemięźliwość zaprowadzić, i pięknie do ludzi przemawiają, i boskie słowa opowiadają, to w niejednej parafii jak groch na ścianę rzucił. Sługa boski, kapłan, choćby i piersi wygadał, jak ludzie zatwardzieli w grzechu, to i nic nie pomoże, i po próżnicy jego praca, a ludzie jak pili tak piją.

Ale tam w tej Trzebuni widzicie, jakoś Pan Jezus Miłościwy inaczej zakierował, że się to ziarnko wstrzemięźliwości do razu przyjęło, i nie wyszło roku, a nie było pijaków, i co lepsze, że nawet żyd karczmarz, widząc że tu nie ma co robić, wyniósł się z parafii, potem się i karczmisko zwaliło, no i patrzcież minął jakiś rok, że o szynku ni o karczmie nikt nie pomyślił. Zaś ludek poczynał się dorabiać grosza i dobytku, i choć ta prawda dostatku nie ma, bo tam jeno z tego żyją, co sobie jakowym przemysłem zarobią, kiedy wożą drzewo do Krakowa,

albo znów płótna naprzędą i sprzedadzą; więc i drożyzna i podatek wielki, tak że trudno o dostatki, ale przynajmniej ostatni krajcar nie szedł na gorzałkę.

Aż tu przeszłego lata przyjechała rewidować te dobra dziedziczka, ale to pani nietutejsza, gdzieś tam aż z za Wiednia, i duchem kazała, aby w każdej wsi dla porządku niby była karczma. Rządcy jużcić uczynili co dziedziczka kazała, poczęli stawiać karczmy, ta wystawili i w tej Trzebuni, gdzie jej długo nie było. O mówię wam, jakem się o tem dowiedziała, to mi się żal tej wsi zrobiło, bo sobie myślę: człek nie święty, a jak będzie miał pokusę, toć się i do złego łatwo wróci. Ci poczciwi górale, co poczęli tak pięknie Panu Bogu służyć, któż wie czy nie popsują się jak będą mieć więcej sposobności, co zły duch im szepnie do ucha, i bądź zdrów, będzie po ich cnocie i rzetelności.

No i tak jakem się jeno o tem dowiedziała, tom się trapiła, bo moiściewy nic mię tak nie trapi, jak kiedy gdzie między wami widzę obrazę boską, a osobliwie też to przemierzłe pijaństwo, co najwięcej ludzi do piekła zawiodło.

Aż tu niedawno wypadło mi jechać przez tę wieś Trzebunię. Nadjeżdżam, karczma stoi gdyby jaki dwór, okna się w niej szklą, a mnie aż coś strzęsło; aż tu zbliżam się, patrzę, a tu moja karczma w dzień, jak rybie oko, stoi sobie zamknięta na kłódkę, bo się żaden karczmarz na nią nie zerwie, bo wie, że w tej parafii nie piją, to tu nie ma co robić.

Oj dopierom się też ucieszyła, ażem do razu do Najświętszej Panienki Zdrowaś Marja zmówiła — i wnet sobie pomyślałam, że ja o tej parafii dam wiedzieć ludziom, aby sobie to mieli za piękny przykład. *Ludka z Myślenic.*

# RÓŻNOŚCI.

*Nie zawadzi i o tem pamiętać.* W Czechach i na Morawie, a toć kraje te są blisko nas, i ludzie tameczni nie wiele się różnią od naszych, i mówią tak, że ich bez mała zrozumieć można — otóż jest tam lud wiejski bardzo rozumny i uczony. I aż miło patrzyć, jaki tam dobytek, jaki porządek i jaka uczciwość. A wiecie czemu to tak? Oto bo w każdej wsi znajdziesz tam i szkołę piękną i naukę dobrą: a

już najmniej jedną gazetę nieprzymierzając jak nasz Dzwonek, zaś często bardzo i więcej, czasem pięć i sześć. Na czytaniu zna się tam prawie każden, i na dobrą xiążeczkę nie żałuje grosza. Więc jużci u każdego gospodarza znajdziesz w chałupie kilka xiążek, a jak poczniesz z nim rozmawiać, to jakby z jakim surdutowym, choć to sobie człek prosty i chodzi w sukmanie, zaś rozprawia tak pięknie nikiej xiądz na kazaniu. A kiedy jest rozum, to całkiem inaczej idzie gospodarka. Nie zmarnują ci tam przez nierozum niczego, a najlichszą rzecz potrafią na pożytek obrócić. O każdym nowym sposobie wiedzą z gazet i pomagają sobie nim przy pracy. Zaś najbardziej ten mają pożytek, iż przy czytaniu pięknych nauk stają się ludziska uczciwsi, pobożniejsi i pracowitsi. Włóczęgów, złodziejów, darmojadów różnych to tam prawie całkiem nie ma, a wszyscy jak jeden zacni i poczciwi. Taki to pożytek z czytania, a daj panie Boże, aby u nas jak najprędzej podobnie było.

*Pisanie Wawrzka i Kuby.* Napisali do mnie z Dubiecka Wawrzek i Kuba Lis piękny list, w którym jest wiadomość o darowiznie pana hrabiego z Dubiecka i o wdzięczności tamecznych włościan, jak to już wedle pisania Józefa Grzegorzaka wydrukowaliśmy w Dzwonku w numerku 14. Dalej zaś piszą oni w liście swoim tak: „Prosimy was, abyście podali do powszechnej wiadomości o zacnej pani w Nienadowej — która wieś jest w obwodzie rzeszowskim, co to własnym kosztem urządziła apteczkę, i każdemu nie tylko swoim, ale i obcym, chętnie i spiesznie udziela pomocy. Ona to na wzór dawnych naszych polskich pań sama własną ręką wyszywa ornaty, i niemi okoliczne ozdabia kościoły; a jej córeczki w tak sztucznie robione przystrajają kwiatki, w takie bławatki i maczki, jakbyś je dopiero co z żytka lub pszeniczki zerwał. Znajduje się tam także i szkółka, do której państwo wiele się przyczynili. Dziatek chodzi do niej przeszło siedmdziesiąt, które już pięknie czytają; aż serce skacze z radości, jak te pacholęta czyściutko i bielutko kiejby jakie gołąbki parami idą na nabożeństwo. Daj nam panie Boże doczekać z nich pociechy a krajowi pożytku." — Tak piszą Wawrzek i Kuba, za co im pięknie dziękuję, i proszę bardzo, aby znowu do mnie kiedy napisali, jak będą mieć wiadomość o jakiej pięknej sprawie.

## Przysłowia.

Lepsza cnota w błocie,
Jak niecnota w złocie.

Poznać z mowy,
Jakiej kto głowy.

Co się prędko wznieci,
Niedługo świeci.

Nie każdy się dąsa,
Kto wargami trząsa.

**Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.**